

W pracowni Teresy Roszkowskiej

WIZYTA w pracowni (na „starej” Saskiej Kępie) u Teresy Roszkowskiej obfituje w zaskoczenia. Pani Teresa, powstała z pamiętników i wspomnień, artystów plastyków związanych rocznikiem jej urodzin — wyłania nam się z ich memuarów jako osoba krotochwilna, barwnie okraszająca swymi powiedzeniami niejedną anegdotę.

Biorąc pod uwagę jej fantastyczne scenografie, którymi na przestrzeni lat trzydziestu z górą (z wyjątkiem, oczywiście, czasów okupacji) obdarza widzów teatrów stolicy, można się spodziewać osoby upoetycznionej, bez mała mówiącej wierszem... Znając jej obrazy spodziewamy się spotkania z malarką trochę niesforną, przepadającą za sztuką ludową, z mieszkaniem urządzonym w stylu „etnograficznym”.

I tu zaskoczenie. Mieszkanie pełne antyków. Gospodyni w sukni długiej, ale nie powiewnej, zajęta jest właśnie wyprowadzaniem psów na popołudniowy spacer, proponuje rozmowę w trakcie przechadzki.

Możemy zająć się rozmową. Zaczynamy od studiów w Akademii.

— Były to moje najradośniejsze lata — zwierza się artystka. — Czy mam opowiadać o plenerach w Kazimierzu u „Prusza” (Pruszkowskiego)? Chyba nie trzeba. Pisało o tym tylu autorów. Dziś niewiele uczestników tych plenerów pozostało przy życiu. Sam „Prusz” został rozstrzelany przez Niemców. W windzie domu, gdzie mieszkał, znaleziono tajne garetki.

Z czasów przedwojennych zachowały się artystce wszystkie prace malarskie. Oglądamy te radosne, w ludycznym nastroju utrzymane kompozycje figuralne. Wtedy jeszcze Teresa Roszkowska nie robiła scenografii. Ale już jest w nich pewien nerw scenograficzny. Rozliczność planów, jak w głębi scenicznej i rozgrywające się na nich sceny, przeważnie taneczne. Obok zupełnie inne w nastroju kompozycje kwiatowe i robione współcześnie suche bukiety. Kwiaty pochodzą z własnego ogródka.